



Autostopem do Wietnamu

Mirek Tran ruszył samotnie do Azji. Przed niczym nie uciekał, niczego nie zdobywał. Chciał przeżyć przygodę życia i odwiedzić rodzinę.

1. Punkt widokowy w Thung Nham Bird Park – prowincja Ninh Binh, Wietnam.

2. Opuszczam Kapadocję po pięciu świetnie spędzonych dniach z grupą miejscowych studentów.

3. Ten pan jechał poboczem autostrady pod prąd i zabrał mnie – idącego poboczem pod prąd.



Eskorta pancernym samochodem w Kwiecie, Pakistan.

Kiedyś chciałem kupić sobie mapę świata, taką do zdrapywania poszczególnych krajów, które się odwiedziło. Tyle że byłby to zupełnie bezsens, bo jedyne miejsca, do których wówczas dotarłem, to Słowacja i Wietnam. I to kiedy miałem siedem lat! Musiałem poczekać kolejnych 21, by dopisać do listy: Węgry, Serbię, Bułgarię, Turcję, Iran, Pakistan, Indie, Tajlandię i Laos.

Moja podróż autostopem do Hanoi z podkrakowskich Myślenic była z założenia niemalże samobójcza. Wybrałem się w nią, nie mając większego pojęcia o państwach i kulturze ludzi, którym musiałem zaufać. I którzy musieli zaufać mnie. Wziąć do swojego samochodu obcego faceta z plecakiem wielkim jak dom i nie tylko pomóc mu pokonać kolejne kilometry podróży marzeń, ale dać coś z siebie. Miało być ciężko, prawie jak na wojnie. Ale tak naprawdę przestraszyłem się tylko raz – kiedy pewnej nocy w Iranie na środku pustyni podjechało do mnie dwóch mężczyzn. Jeden z nich miał strzelbę...

Rok koguta

Wietnam był impulsem, choć przecież od lat tam na mnie czekano. Nigdy nie było okazji. Tak więc kie-

dy wróciłem do domu z Londynu, gdzie pracowałem przez dziewięć miesięcy, gdy pozamykałem swoje sprawy, te zawodowe, jak i osobiste, poczułem, że to jest ten moment. Miałem wreszcie czas, zaoszczędzone pieniądze i głowę tam, gdzie powinna być. **Wiedziałem jednak, że odkładana podróż do kraju ojca nie mogła być ot taką zwykłą wycieczką. Nie chciałem wsiąść z walizką do samolotu i czekać, aż przywitają mnie na lotnisku.** Może była w tym jakaś potrzeba zadośćuczynienia, a może przekonanie, że to, co jest wartościowe, rodzi się powoli i niezbyt łatwo. Miałem w sobie poczucie winy, chciałem ją odkupić. Odkupienie liczyło sobie 17 tys. 431 km, a plecak, który spakowałem, ważył 26 kg – co na moje własne sześćdziesiąt kilo już było matematyczną niesprawiedliwością.

Planowanie? To za duże słowo, bo przygotowując się do wyprawy, skupiłem się na wyrobieniu sobie wizy do Pakistanu i naszkicowaniu ogólnej mapki. Nie bałem się nieznanego, może dlatego, że płynie we mnie polsko-wietnamska krew, a może mam w sobie jakąś głęboką wiarę i przekonanie, że to, co jest twoim przeznaczeniem, prędzej czy później zawsze cię odnajdzie.

Chciałem wyruszyć w Nowy Rok, tyle że oczekiwanie na dokument wstrzymało mnie do 28 stycznia, czy-

li do Nowego Roku wietnamskiego. To był rok koguta, czyli, jak to mówią w kraju mojego ojca, pora działać i dążyć do celu!

W plecaku miałem prawie wszystko. Bo jak spakować się na trzymiesięczną wyprawę przez połowę globu, zimne i gorące kraje, nie mając wcześniejszego doświadczenia? Byłem zabezpieczony niczym zawodowy prepers, na spanie w 20-stopniowym mrozie, gotowanie w jaskiniach, rozpalanie ogniska na oceanie, prysznic na pustyni... Miało być ciężko. Tyle że nie było. Na swojej drodze spotkałem tylu wspaniałych ludzi, którzy mi pomagali, proponowali obiad, gościnę, zwiedzanie. Szybko się okazało, że te wszystkie survivalowe triki mogłem sobie schować głęboko do plecaka. Nie wkuwałem na pamięć przewodników, nie czytałem, co może mnie spotkać, czego powinienem się obawiać. Nie było w tym jednak ignorancji, chciałem te miejsca odkryć po swojemu. Bez dokładnego harmonogramu i planu. I dobrze, bo i tak wzięłyby w łeb.

W drodze spotkałem bowiem tych, którzy byli moimi najlepszymi drogowskazami – tubylców i tych, co podróżowali jak ja, autostopem. Dzięki nim zobaczyłem potęgę i magię Karakorum, doświadczyłem piękna pustyni, głębi morza, dopłynąłem na malowniczą irańską wysepkę. Poznawałem te kraje na gorąco i od środka.

Dziewicza podróż

Kiedy mama podwoziła mnie z całym ekwipunkiem na przystanek pod Myślenicami w kierunku Zakopanego, na kartce, którą trzymałem w rękach, widniał napis... WIETNAM. Wcale nie żartuję, nie miałem przecież żadnych doświadczeń w łapaniu stopa. Owszem, startowałem w konkursach tańców standardowych i latynoamerykańskich, zakładałem własną szkołę tańca, uczyłem samby, grałem na gitarze i fotografowałem owady na łąkach, ale nigdy nie podróżowałem autostopem.

Szykowała się naprawdę niezła jazda. **Z czasem nauczyłem się oczywiście, że lepiej podawać miejscowości bliższe niż dalsze, zorientowałem się też, że moja dziewicza podróż nie raz mnie jeszcze zaskoczy.** Tak jak wtedy, kiedy wręcz nachalnie wciskano mi do ręki pieniądze na dalszą drogę albo choćby na szczęście. Może szkoda, że odmawiałem, bo wróciłbym bogatszy nie tylko w doświadczenia... Szybko nawiązywałem kontakty, a kolejne kilometry mijały na rozmowach o życiu, filozoficznych rozważaniach, ale i całkiem prostych opowieściach o codzienności, jedzeniu i rodzinie. Szybko też zrozumiałem, jak cenne są spotkania. W Serbii na autostradzie poznałem Pawła, Polaka, który podobnie jak ja łapał okazję. I choć ja kierowałem się na Wschód, on w przeciwnym kierunku, to właśnie dzięki jego kontaktom miałem miejscówkę w Stambule. W ogromnym, gwałnym mieście, które zachwycało architekturą i kuchnią. Dotarłem też do Pa-



W drodze odwiedziłem m.in. świątynię Wat Phra Sri Sanphet w prowincji Ayutthaya w Tajlandii.

mukkale, miejscowości rozłożonej w dolinie Cürüksu, gdzie miałem szansę sfotografować unikatowe wapienne tarasy. Turcja to niesamowicie przyjazny kraj dla autostopowiczów. Nie dość, że nie stałem przy drodze dłużej niż pięć, dziesięć minut, to pamiętam kierowcę, który zaoferował podwiezienie, i gdy tylko wsiadłem, wykręcił z komórki numer do swojego syna. Sam nie znał angielskiego, ale nie chcąc, bym czuł się źle czy nieswojo, dał mi go do słuchawki, bym sobie porozmawiał. To także w Turcji jechałem na stopa... autokarem, i to pierwszej klasy, z wszelkimi wygodami, choć tak chciałem tego uniknąć.

Welcome to Iran

Najtrudniejszym etapem był Iran. Nie wiedziałem, że nie działają tam nasze, europejskie karty, tak więc dzień wcześniej pozbyłem się wszystkich pieniędzy. Ostatnie grosze rozdałem biednym, będąc święcie przekonany, że na drugi dzień będę już za kolejną granicą i wyciągnę sobie z bankomatu irańskie riale. Jak się okazało, nie było to jednak tak proste. Na gra-



1. Tadz Mahal w Indiach. Był taki upał, że aż woda wyschła w kanale...

2. Spotkanie rodzinne z okazji rocznicy śmierci dziadka. W małym mieszkaniu salon zajęli mężczyźni wraz z babcią, mniejszy pokój – kobiety.

nicy w Kapiköy czekałem na swoją kolej ponad dwie godziny, obserwując z przerażeniem, jak małe dzieci przemycają papierosy i benzynę, wsłuchując się we wrzaski i w końcu tłumacząc kilka razy, że przyjechałem z POLAND, a nie HOLLAND. Policja zabrała mnie do specjalnego pokoju, gdzie wyypytywali mnie o wszystko, sięgając niemalże kilka pokoleń wstecz.

Kiedy usłyszałem: „Welcome to Iran”, mylnie pomyślałem, że już po wszystkim.

Do najbliższego miasta Choj było kilkadziesiąt kilometrów, tyle że jedynym możliwym środkiem transportu okazała się taksówka, a ja nie miałem czym zapłacić... I choć 20 dol., których taksówkarz zażyczył sobie za kurs, nie stanowiły majątku, problem tkwił w tym, że nie byłem w stanie tych pieniędzy wybrać. Ani z kantoru, ani bankomatu, ani z centralnego banku. Nie pomogły biuro informacji turystycznej, ambasada, policja. Musiałem głodny przemocować w namiocie, a rano, kiedy się obudziłem, zobaczyłem, że butelka wody, którą miałem ze sobą, całkowicie zamarzła.

Było strasznie. I tylko dzięki znajomemu, którego spotkałem w Kapadocji, a który skontaktował mnie z chłopakiem z Iranu mieszkającym w Warszawie, udało mi się jakoś wyjść z tego koszmarne impasu. Internetowo przelałem mu pieniądze (co w Iranie też nie było takie łatwe), a jego mama przelała je kolejnemu dobremu człowiekowi, który wręczył mi je osobiście i jeszcze oprowadził po mieście. **Byłem uratowany. Po dwóch dniach mogłem coś zjeść. Nie zraziłem się, bo Iran to piękny i ciekawy kraj, ale to właśnie w nim przeżyłem moment grozy.** Była północ, kiedy na środku pustyni pomiędzy górami podjechało do mnie na motorze dwóch mężczyzn, jeden z nich miał strzelbę. Ciężko nam było się dogadać, ale, na szczęście, po trzydziestu minutach odjechali...

Na irańską wyspę Larak (gdzie czatowaliśmy na fitoplankton, którego niestety nie zobaczyliśmy) pojechałem z grupką Polaków spotkanych na plaży, wśród których, jak się okazało, była kuzynka mojego kolegi z pracy. Przypadek? A potem był Pakistan, kraj pięknych i otwartych ludzi i hipnotyzujących szczytów Karakorum. W Bangkoku genialne jedzenie i spotkanie na piwie z dwoma Michałami z Polski. To właśnie w Tajlandii miałem okazję podróżować z dwiema kobietami, które nie bały się zatrzymać i wziąć do wozu szaleńca z Polski. Pierwszą w myślach nazwałem mamuską, bo na mój widok powiedziała: „Biedaku, widzę, że ci ciężko, wskakuj, podwiozę cię”, i z nią pokonałem 200 km.

Z drugą dziewczyną była zabawna historia, bo kiedy usłyszałem od niej „Tylko się nie śmieję, bo to mój pierwszy raz”, pomyślałem, że po raz pierwszy wzięła kogoś na stopa. Niestety, okazało się, że to jej pierwsza jazda po drodze szybkiego ruchu. Przeżyłem.

Babcia

Po trzech miesiącach i siedmiu dniach zapukałem z bukietem kwiatów do drzwi babci. Ma na imię Quy. Szczerze powiedziałem, nie poznała mnie. Była lekko zdezorientowana, ale ma przecież 97 lat, wzrok już nie pierwszej młodości, a 21-letnia rozłąka też zrobiła swoje. Jako że moja znajomość języka ogranicza się do

kilku wietnamskich słówek, musiałem czekać na ojca, by mógł oficjalnie przedstawić babci marnotrawnego wnuka. Radość była ogromna, a ja z wielkim wrażliwym obserwowaniem, ile niespożytej energii tkwi w tej drobnej kobiecie.

Moja wietnamska część rodziny jest całkiem spora (tata ma sześcioro rodzeństwa), o czym mogłem przypomnieć sobie, kiedy dosłownie wszyscy przyjechali na rocznicę śmierci dziadka, która akurat przypadła podczas mojego pobytu. Od razu postanowili zaplanować mi cały miesiąc, i to w ten sposób, żebym mógł zobaczyć rodzinę w różnych częściach Wietnamu. Zwiedziłem więc zatokę Ha Long, Ninh Binh, Haiphong, północne ryżowe tarasy w Sapa oraz otaczające je góry. Poleciałem do Ho Chi Minh, by odwiedzić kuzyna z rodziną, podróżowałem wzdłuż wybrzeża od Vũng Tàu (miasto, w którym też mam rodzinę) do Mui Ne, gdzie znajduje się pustynia. Kiedy wróciłem do Ho Chi Minh, kuzyn wykupił mi wycieczkę na wyspę Phu Quoc, gdzie spędziłem pięć dni, a następnie wróciłem do Hanoi.

To dziwne, a może właśnie nie, bo poczułem się w Wietnamie jak u siebie. Kiedyś miewałem flashbacki z naszego wspólnego, rodzinnego wyjazdu do Wietnamu w 1996 r., ale teraz, kiedy jeszcze raz mogłem ich zobaczyć, praktycznie wszystkich rozpoznałem, a nawet pamiętałem ich głos.

Choć podróż jest ważna, cel przyniósł mi ulgę i spokój. Czy byłem już wtedy innym człowiekiem? Na pewno bardziej otwartym i przekonanym, jak wspaniali są ludzie. I to nie tylko ci, którzy zatrzymują się, widząc człowieka z plecakiem przy drodze. Dostałem też w prezencie dużo czasu, który mogłem w pełni wykorzystać. Być tu i teraz.

Żeby się nie obudzić

Mam w sobie dwie osobowości i nie widzę w tym żadnej sprzeczności. Lubię ludzi, nowe miejsca, ale też potrzebuję czasu na medytację i kontemplację. Czasem muszę się oderwać. Moje wietnamskie imię, Nghia, oznacza człowieka związanego z rodziną, ale też takiego, którym targają emocje. Dlatego czasami potrzebuję przystani, a innym razem samotnej wyprawy gdzieś daleko. Dziś mieszkam na Islandii, pracuję w barze sushi w Reykjavíku i fotografuję dziką przyrodę Północy. Nie wiem, czy to etap, czy cel, i wcale się nad tym nie zastanawiam. Tylko czasami boję się, że to sen i że się z niego przebudzę. ■

Opracowała Katarzyna Kachel. Zdjęcia: Mirek Tran



MIREK TRAN
Niegdyś instruktor tańca, teraz specjalizuje się w przyrządzaniu sushi. Pasjonat fotografii, na koncie ma zwycięstwo w światowym konkursie National Geographic „Daily Dozen”. Uwielbia odkrywać nowe miejsca.

INFO

AZJA



Piękna, prawie dzika wyspa Hengam w Iranie.

WARTO WIEDZIEĆ

■ Kiedy się podróżuje przez Azję, trzeba pamiętać przede wszystkim o tym, że do prawie każdego kraju potrzebujemy wizy. Tylko jedną wizę – do Pakistanu – załatwiałem, będąc jeszcze w Polsce, bo to od niej było wszystko uzależnione. Resztę wiz wyrabiałem w poprzedzających krajach (ambasady/konsulaty znajdują się w stolicach), z reguły musiałem na nie czekać 1–3 dni. Koszt wiz oscylował w granicy 100–400 zł. Do wyrobienia wiz do Iranu i Pakistanu są wymagane dodatkowe dokumenty, które trzeba uzyskać w lokalnych biurach turystycznych (wszystko można załatwić przez internet). ■ Każde przejście graniczne przechodziłem pieszo, by nie sprawić kłopotu kierowcom – służbom granicznym może wydać się podejrzane, że ktoś przewozi

w samochodzie obcokrajowca z ogromnym plecakiem. ■ Stopa trzeba łączyć w miejscu, gdzie jest bezpiecznie dla nas i dla kierowców. Należy unikać wąskich dróg bez dodatkowego pasa umożliwiającego zatrzymanie się. ■ W dużych miastach musimy się dostać na wylotówkę w kierunku, do którego zmierzamy. Na kartonie najlepiej wpisywać nazwę miejscowości, która jest w zasięgu kierowców na tej drodze. Nawet parę kilometrów do przodu to jest sukces! ■ Warto zainstalować aplikację iPolak, która podaje dla danego kraju m.in. informacje drogowe, potrzebne szczepienia (jeśli są wymagane), bezpieczeństwo. ■ Przed wjechaniem do kolejnego kraju dobrze jest się nauczyć podstawowych zwrotów, które diametralnie zmieniają nastawienie kierowców i rozładują wszelkie napięcia.

